ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Kwietnia. Ner 14. Roku 1854.

KAMIEŃ
czyli
co to sobie lasy opowiadają.

(Ob. N. 4. Roz.)

Cisza nie trwała długo, było-to tylko z przestrachu. Trudno być i cicho gdzie tyle razem, a kiedy grono nie małe, tam zawsze znajdzie się coś powiedzieć; do tego kwiatki i drzewa zasmakowały w powieściach, i chciałoby się im było słuchać bez końca.

Kiedy kamień wie tyle, rzekła wysmukła Dzwonka, poprośmy niech gada; nawet powinien także przyczynić się do rozrywki, bo się wcisnął między nas, rozparł się, słucha co my mówimy a sam milczy jak niemy.

Zawsze te Dzwonki najciekawsze! mruknęła Poziomka.

Ciekawe? Że-to nam zawsze tak zarzucają, a nie wiem dlaczego?

Jakże-ż nie ciekawa-ś, kiedy się wyciągasz i zaglądasz zpoza nas? mówi Poziomka.

Dzieciń2stwo! odpowie Dzwonka, wszakto dlatego tylko że mi kamień zasłania.

Wymówki! chrząknęła Poziomka.

A cóż ty robisz lepszego? zapytały Dzwonki.

Ja rodzę jagódki.

Poco te sprzeczki, zaszumiał Buk z góry. Lepszeście jedna jak druga, ta próżna a ta ciekawa; i bardzo naturalnie: co tylko rok jeden żyje, zawsze to boso chodzi.

Nieostrożne słówko Buka omal nie wywołało wojny domowéj; wszystkie kwiaty się obruszyły i jednomyślnie postanowiły nieprzepuścić takiego uchybienia bezkarnie. Więc dla wspólnéj zniewagi pojednały się stronnictwa Poziomki i Dzwonków, chociaż same były powodem całego powstania, i uradziły natrzéć na wspólnego nieprzyjaciela. Wezwano Jaskir na dowódzcę wojsk stałych, w hufce lekkie uzbrojono Tojady, ciężką broń powierzono Dzięgdzierzawom, Pokrzywy i Osty powołano za landwery, i wydano odezwę do ochotników.

Piérwsza Róża stanęła i zaostrzała kolce; bo też-to Róża miała zawziątek do drzew dlatego, że ją nie przypuszczali do siebie chociaż pniem swoim wyrównywała poważnym drzewkom. Spór o to toczył się już od lat niepamiętnych, a dyplomacya kwiatów i drzew naodby-

wała o tém konferencyi nie mało, przyczém osobliwie odszczególniała się kulista Akacya, jak się za różą gorliwie ujmowała, bo żyje z nią w wielkiéj zażyłości i przyjaźni. Szkoda, że te wszystkie rozprawy odbywały się jak-to jest w obyczaju u drzew i kwiatów, tylko ustnie, a byłby stos aktów niemały, a nadto z tego w dyplomacyi ciekawy iż na ostatniéj karcie czytałoby się to samo co i na piérwszéj.

Zresztą przystąpiły do sprawy wojennéj i inne kwiaty, których nie koniecznie jak różę podniecał interes własny, szło im o punkt honoru; i Anemona rozprawiała szeroce o prawach kwiatów, Sitowina składała wiersze, Czernica przewiesiła płoskę i udała się za markietankę, a tłum nie mały innych kwiatów złożył się w pułki ochotnicze, wszyscy rozprawiali i nie bez natchnienia gadali jak walczyć, jak ginąć dla dobra publicznego, a w duszy każdy sobie wystawiał jaka-to mu rozkosz będzie odgrywać przewodną rolę w zwycięzkich tryumfach.

Zanosiło się w saméj rzeczy na coś wielkiego, i chociaż drzewa nie zabiérały się jeszcze do walki, ale kochając wygodę i spokój szły im nie na rękę te spory; szczególnie Jodła krzywiła się — niedawno temu prawiła o lubych związkach kwiatów z liściami drzewa, teraz na to co się działo, wstyd ją ogarnął. Wkońcu też u wielu kwiatów ostygły zapały wojenne, wolały-by były słuchać co kamień powie; więc jak-to bywa po długich rozruchach, pogodzili się wszyscy gdy się wdały Głóg i Malina, i doradziły wejść w układy o pokój. Najusilniéj zajęła się Malina, jakieś ją powinowactwo wiązało z Poziomką która poniekąd była powodem niezgody; Głóg zaś co stoi gdzieś między kwiatem a drzewem, słusznie mógł stanąć pośrednikiem w téj sprawie. Z tém wszystkiém nie łatwo przychodziło do zgody, bo Buk ani myśléć, by odwołał słów wyrzeczonych. Szczęściem znalazł się sposób, i Bug oświadczył że „wprawdzie odwołać nie może by drzewa nie były starsze od kwiatów, ale to przyznaje że kamień jest jeszcze starszy niż drzewa. Zapewnia przytém że to co powiedział, nie wyrzekł bynajmniéj w myśli obrazić kwiaty, owszem zachowuje zawsze największy szacunek dla nich.“ Takie oświadczenie nie ubliżało Bukowi, sam przyznał; ale Dzwonki na to się trzepotały, a roztropny Goździk rozwodził zcicha że Buk właściwie nic tu do rzeczy nie powiedział; lecz iż to kwiatom dogadzało, więc wzajemne oświadczenia szacunku i przyjaźni zamknęły kłutnię.

Ale słowa Buka przypomniały kwiatuszkom kamień, i znowu ocknęła się ochota jak by go tu rozgadać, przemyśliwano tém zapalczywiéj, gdyż po téj wrzawie wojennéj i burzliwych wzruszeniach tęschniła dusza za marzeniami.

Lecz jak tu począć z tym małomownym, niemym kamieniem? Drzewa chciały powołać strugę co to się przechwalała z poufałości i związków z kamieniem; kwiatom zaś zdawało się że najlepiéj będzie poruczyć tę sprawę Trawie, która ze Mchem w powinowactwie

znajdzie w nim orędownika życzeń całego lasu. Przy takiéj różności zdań zachwiał się świéżo zawarty pokój, gdy na to struga inną podała radę.

Udajcie się do Paproci, ona ni kwiat ni drzewo, a jest Wachlarz kamienia, jego poufny wiernik, ogina go i otula, pieści i podchlebia, Paproci nic nie odmówi.

Paprotko! zaszczebiotały kwiaty; nie namówiłaby ty kamuszka?

Paprotka nachyliła się poważnie i coś milczkiem chuchała. Wszyscy się pozaczajali, struga pomrukiwała na urok że także przymawia, ale czy na prawdę tego nikt nie wie; drzewa wstrzęsły się jeszcze raz wszystkie ażeby pogadanki nie przerywać na potem, a kwiaty zgoła jak były powyściubiały główki zpod trawy. Tymczasem kamieniowi wyszeptała paproć życzenie lasu, i oto zpod szérokich jéj liści i zpod puszastéj pokrowy ze mchu zaszmerzył kamień taką powiastkę.

Słusznie mówiła Struga że-m ja najstarszy w lesie i świadom wieków wam niepamiętnych; jakoż i w tém co wy opowiadali, wiele jest prawdy, chociaż biorąc rzecz ściśle, należało-by wiele sprostować. Prawda to jest co Maczek mówił że na ziemi rozkwitał się kwiatek jeden po drugim; prawda i to co Jodła powiedziała: że pory roku ziemią się podzieliły; ale nim do tego przyszło, wiele, wiele upłynęło wody, a nie jedna się walka stoczyła.

Bo-to jak Pan Bóg świat stworzył, była ziemia wielką, ogromną skałą, nic więcéj, twarda była i pusta, ale niewzruszona i stała. Że zaś sama o sobie niedołężną była, zesłał Pan trójkę żywiołów, rodzeństwo potężne ażeby ją ogrzać i zapłodnić; a piérwszy przybył Najstarszy, w szacie od purpuru i złota brat Ogień. Gwałtowny i dziki szturmem przeleciał ziemię, rył, pruł i rwał skałę, ale skała była twarda i nie tak łatwa do pokonania, i chociaż ją parzył, zmiękczyć się nie dała przemocy jego. Więc się wszczęła zacięta walka. Tu i ówdzie udało się wprawdzie ogniowi skruszyć odrętwek skały, odłamał nie jedną bryłę i w zuchwałém uniesieniu zwycięzcy miotał odłamki na wszystkie strony, a z tego powstały my wielkie i małe kamienie, ścielimy się po ziemi bez ładu i składu według dziwacznéj woli żywiołu rozhukanego. Ale nie wszędzie walka udała mu się po myśli; często kiedy w zapędach swoich wpruł się głęboko we wnętrze skały, skała się za nim zatrzasła, uzbroiła w zastępy do nieprzebycia i niezwalczone stawiła czoło przeciwnikowi; ogień musiał uledz, skała go w więzy ujęła i zakuła we wnętrzach swoich. I jeszcze tam siedzi; a że to prawda, wiecie sami o tém, bo każdy kamień kryje w sobie ogniste iskry, i byle człowiek co to się kocha w ogniu, a teraz go w poddaństwie trzyma, tylko pociągnął po kamieniu stalą, zaraz się i iskry sypią. Lecz są-to tylko okruszyny jego przemożnéj władzy; kiedyś wam opowiem co on w samém wnętrzu ziemi wyrabia i jakie knuje zamiary, teraz to tylko powiem że kiedy porażony uległ, przyszła po nim najmłodsza w rodzeństwie: siostra

Woda w szacie zielonéj, lśniącéj od srebra, łagodna i miła z pozoru, a roztropna wiedziała jak kogo zażyć, i szło jéj pomyślnie; wnet korzystała ze zwycięztw które brat poodnosił, ale też i pamiętna losu jaki go spotkał szła ostrożnie, bo pojęła co to ten przeciwnik może i umie. Więc wyrozumiawszy że otwartym bojem jemu nie sprostać, zatém w prośby i w układy z ziemią; zaczęła podlizywać i oblęgać skały, więc podchlebiać, więc kołatać, więc nękać tu prośbami, tam podstępem, ówdzie gwałtem.

I ziemia chcąc nie chcąc inną przybrała postać, bo woda zajmując miejsca które jéj brat przedtém poorał i pozdobywał, zaraz się w nich osiedliła stanowczo i rozpostarła w nieprzejźrzany przestwór, który nazwano morzem. Skała zezwoliła na to dobrowolnie, ale podstępna woda ciągle się wyżéj i wyżéj podsuwała; gdzie się udało, przebiła się przemocą, a gdzie zastała doliny, tam wprążyła rzeki. I kiedy skała dla świętéj zgody i temu nie broniła i tylko dla zasłony nadal, brzegi powystawiała, wodzie i to się nie podobało; zalewała częstokroć brzegi, nawet wdzierała się na skałę. Lecz skała mając słuszność i prawo za sobą, spędzała wodę. Cóż na to woda? ustępowała wprawdzie, ale wymyśliła sposób żeby na swojém postawić i swego dopiąć. Oto chowała w głębie swoje na spód wszystkic odkruchy i odłupki które podchlebstwy swemi wymuliła na przeciwniku; i jeźli się jéj wydarzała pora wychylić za brzegi zkąd ją potem spędzano, zostawiała zawsze po sobie swój podspodek z mieszaniny skały i wody. I na to skała nic nie mówiła, bo w tych resztkach cząstkę siebie saméj upatrywała. Otóżto tak porozgraniczały się: Morze, Rzeka, Opoka i Ziemia.

Lecz wszystko co stało było jeszcze niepłodne, czcze, puste, bo co z musu powstaje, dobra nie niesie. Wtedy zesłał Pan lube paniątko żywiolne w mięciuchnym modrym płaszczyku — Powietrze, z poleceniem pojednać wszystkich i uszczęśliwić. Powietrze więc zaczęło od zgody kojarząc pokój między Skałą a Żywiołami. Wprawdzie Skała nie wypuściła ogień na wolność, ale pozwoliła powietrzu odwiedzać jeńca kiedy mu się podoba. Ilekroć powietrze zaś odwiedzało ogień, zawsze wynosiło grań z głębi i wysypywało na całą ziemię. Wtedy zaczęło się wszystko na ziemi ruszać, kulczyć, krzewić, czego sam żar ognia nigdy-by był nie dokazał, bo jeźli ma co porastać, tedy potrzebuje i ochłódku z wody w czasie spragnienia. Woda rada była temu; cóż kiedy zamknięta skałami przemknąć się nie mogła; więc powietrze całując wodę przepawało się jéj tchnieniem, unosiło od niéj dobry wieczór pulchniutki i dzień dobry ożywny, i rozkrapiało je po ziemi tam gdzie woda nie dochodziła. I zazieleniło się wszędzie; drzewko i krzew puściły pączki, a człowiek i bydlę mogli już żyć na ziemi.

Tak odwiedza powietrze kolejnie rodzicielskie żywioły i bierze w upominku u ojca ognistą grań, u matki mięciuchne obłoki, i to tak zawsze. Sami widujecie powietrze raz w szacie iskrzą-

céj którą mu pocałowanie ognia pożycza, raz znowu w mdławém odzieniu w które go przy pożegnaniu woda oblokła. Widujecie jasność zorzy wieczornéj i żar jutrzenki zarannéj, widujecie mgły wzrastające kiedy się z wodą powietrze żegna, widujecie obłoki w podróży. Ale obłoki, dziateczki wody cierpią na oddaleniu od ziemi; chociaż powietrze wozić je każe swym sługom — wiatrom, obłoki przecie oglądają się żałośnie i wylewają za domem rodzinnym tęschnicę płaczem nieutulonym, aż całą istotę swą spłaczą i do ziemi powrócą. A ognie, które powietrze z sobą uniesło, patrząc na to także się zżymają, i one za obłokami prężą ku ziemi, lecz obłoki ledziuchno z rozrzewnieniem, ognie z grzmotem i grotem. Ztąd powstało cudowisko burzy. Jakaś wrząca dreszcz z smętną tęsknicą przenika wtedy człowieka i zwierzę, drzewo i kwieć, wszyscy zdają się spółczuciem odwzajemniać: rzewność obłokom a żar piorunom, jak gdyby i ich dusza pragnęła wrócić zkąd przyszła; drzą i blednieją, ale błogie powietrze podsuwa się za nimi z balsamem życia, i w chwili gdy woda i ogień wróciły do ziemi, zaraz pokrzepione wszystko oddycha zdrowiem i orzeźwieniem.

Co się daléj działo, i jak się pory roku rozgraniczyły, jak popowstawały rośliny i jak powzrastały, słyszeliście już o tém. My kamienie patrzymy spokojnie jak to się zieleni i rozkwieca, my cośmy byli w dawnych czasach świadkami walk i nieładu, cieszymy się z ich doli i wzrostu, a chociaż wywołani dziś i w pogardzie tulimy się po ziemi téj co niegdyś naszą była własnością, niezazdrościmy bynajmniéj innym swobody. Więc też-to było bardzo nierozsądnie gdy Dzwonka mówiła że my się wszędzie wciskamy, gdyż-to właściwie wy się wciskacie pomiędzy nas w około, i zazdrościcie nam nawet tego kącika gdzie my w potulnéj skromności siedziemy.

Dzwonka się zarumieniła i spuściła wzrok posępnie po swoich chełkach ku ziemi, Poziomka pod swym trójdaszkiem liściastym zaśmiała się, a Buk zaczął szumić. Struga tém przerażona by się nie wzniecila kłótnia nanowo, więc mówi:

(Dokończenie nastąpi.)

KUPIEC z WENECYI.

(Wyjątki z tłómaczenia K. G.)

Akt I.

Scena 1.

Wenecya. — Ulica.

Antonio.

Zaprawdę niewiem zkąd żałość wybladła
Do mojéj duszy i serca się wkradła,
I zkąd ten smutek, próżno myśli trudzę,
Że siebie nudzę, i przyjaciół nudzę?
Z czego powstaje ta straszna tęsknota,
Co w pierś się wsała i mą duszą miota,
I tak me myśli i głowę zawraca,
Że siebie poznać nadaremna praca.

Salarino.

Tam gdzie bogactwy ładowane maszty,
Niby w chorągwie ozdobione baszty
Dumnie na drobne spoglądają statki,
Jak na pełzące u stóp grodu chatki,

Gdzie biedne łodzie — kmiotki Oceanu
Pokorném czołem ustępują Panu,
Tam duch twój w myślach bezdennych się nurza.
Na morskich falach kołysze go burza —
I ztąd twój smutek.

Salanio.

O wierzaj mi Panie!
Gdybym poruczył na zdradne otchłanie
Skarby co w chwili zaginąć mi mogą,
Wraz-bym tam błąkał nadzieją i trwogą —
Badałbym trawkę, badał liść na drzewie,
By wiatr odgadnąć w najlepszym powiewie —
Wnurzałbym w mapy troskliwą źrenicę,
I śledził rafy, skały i ławice —
Śledziłbym porty i morskie latarnie,
I jak ty smutku uczułbym męczarnie.

Salarino.

Oddech ziejący chłód do mojéj strawy
Mrozem przestrachu przerażałby kości,
Gdybym pomyślał na jakie wściekłości
Okropnéj burzy narażone nawy.
Piasek w klepsydrze, co godziny toczy,
Zdradne mielizny przywiódłby przed oczy,
I wskazał okręt wraz z drogiemi skarby
W morskiego grnntu zamulony garby,
Jak dumném czołem schyloném w żałobie
Maszt pocałunek składa na swym grobie.
Gdybym szedł modlić, to nawet gmach święty,
I kamień w Boski budynek zrośnięty,
Przywiódłby na myśl okropne opoki,
Które okrętu roztrzaskawszy boki
Drogie korzenie rozsypią na skale,
I w me jedwabie stroją wściekłe fale.
Czyż takie myśli napełnić nie mogą
I serce trwogą i dusze trwogą?
Bogacz spokojem opłaca swe dary —
Ty się o twoje obawiasz towary.

Antonio.

Próżno szukacie mój smutek w obawie —
Skarb mój nie jednéj powierzony nawie,
Choć tegoroczna chybnie mi żegluga,
Sowicie stratę wynagrodzi druga.
Mam w różnych miejscach złożony majątek,
Nie, nie w obawie jest smutku początek.

Salanio.

To jest w miłości.

Antonio.

O zachowaj Boże!

Salanio.

Więc cóż cię trapić, cóż cię smucić może?
Jakiéj twój smutek przypisać przyczynie?
Chyba się smucisz dlatego jedynie
Żeś nie wesoły. Mógł byś skakać, nucić,
I rzec żeś wesół, bo się niechcesz smucić,
Różne dziwaki wyszły z rąk natury,
Ten wiecznie smutny, zimny i ponury,
Kwaśny jak ocet i z zamkniętéj gęby
Nigdy mu uśmiech nieodkryje zęby;
Nestor by przysiągł że żart śmiechu godny,
A on posępny i jak chmura chłodny.
Drugi się cieszy i skacze i mruga,
I wciąż się śmieje jak biała papuga.

(Wchodzi Basanio, Lorenzo i Gratiano).

Salanio.

Otóż Bassanio twój najmilszy krewny,
W lepszém cię teraz zostawiamy kole.

Salarino.

Ale nie w szczerszém — o na twojém czole
Chciałbym weselem zgładzić smutek rzewny.

Antonio.

Dzięki! wierzajcie — moje serce zdoła
Ocenić przyjaźń. Idźcie dokąd woła
Własna was czynność — idźcie w błogi skutek!

Salarino.

Dobry dzień Signori!

Bassanio.

Zawsze ten smutek?
Kiedyż nam radość zapromieni w duszy?
Uśmiech na ustach wskrzesi?

Salarino.

Wasza radość wzruszy
I w naszych sercach podobne wesele.

(Salarino i Salanio odchodzą).

Lorenzo do Gratiano.

To Kastor i Polux — wierni przyjaciele,
Zostawmy samych (Do Bas.) Pamiętaj Signore
Złączyć się z nami w obiadową porę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Trzęsienia ziemi we Włoszech w bieżącym wieku.

Nie piérwsze-to trzęsienie ziemi w tym wieku XIX. we Włoszech, o którém donoszą z Fuligno i Perruggi pod dniem 11 i 12 Lutego; chociaż wielkie i straszne gdyż się rozciągało na część Kalabryi, mianowicie okolicę Cosenzy, cieniem tylko będzie tego trzęsienia co było w r. 1832, a które całą dolinę Umbryi trwogą i płaczem przejęło. Trwało owo trzęsienie wtedy z małą przerwą przez dwa miesiące, od połowy Stycznia do środka Marca, pogrążyło wioski Butino, Scafali, Castelacci, a w nieszczęsném Fuligno co i dziś tyle strat opłakuje, zapadło się wtedy 380 domów, pałac biskupi, dwa seminarya, 22 kościołów i domów parafialnych. W pobliskiém od Fuligno miasteczku Spello, pamiętném freskami Pinturicchia runęło 200 domostw, a sąsiednie miasta: Assissi, Bavagna z przyległościami bardzo wiele ucierpiały. Na domiar zapadł się 15 Marca pawiment środkowy kościoła „di Santa Maria degli Angeli“ co to stoi na drodze z Fuligno do Perruggi, a dziwném zrządzeniem gdy się wszystko poobalało, stała kopuła na odłamkach ścian bez uszkodzenia, a śród zniszczenia i gruzów na dole utrzymywała się w całości bez naruszenia kaplica Ś. Franciszka „La Porziuncula“, w któréj trzema laty wprzódy Overbeck cudowne fresco „di Perdono d'Assissi“ zostawił. Fuligno długo nie mogło powstać, byłyć temu na przeszkodzie poczęści smutne koleje zamieszek domowych w owym czasie; wojska sprzymierzonych mocarstw zajęły Bononię, Francuzi trzymali Ankonę. Cesena i Forli świadkami były utarczek bez ładu i niepokoju, a zapędy swawoli ludu ukróciła tylko trwoga ze chłosty od Boga, jak Rzymianie mówili. Dziś po lat 22 upływie powtarza się trzęsienie w Umbryi, w chwili równie a może jeszcze groźniejszéj jak-by ku upomnieniu lekkomyślnego ducha. Znowu zaznało Fuligno gniewu żywiołów, a miasteczko Bastia jeszcze więcéj, i jego klasztory zapadły się, świątynia pańska tylko ocalała.

Piękne Włochy, raj ziemski, niebo lube, ale zdają się sprawdzać co niesie przysłowie „Bóg ulubieńców nawidza,“ i te lata półwieku z dziewietnastego stulecia świadczą ile doznały ręki jego. Pomijamy tamto straszne trzęsienie 5 Lutego 1785 co od Otranto po za Palermo aż do wysp eolskich się rozciągało, inne i to wkrótkich odstępach szły jedne po drugich. W r. 1804 dnia 26 Lipca zniszczało prawie całkiem hrabstwo Molise w Neapolitańskiém; sześćset włoskich mil kwadratowych wstrzęsło się o jednéj chwili, z 61 miast i wiosek pozostały bez uszkodzenia tylko dwa miejsca San Giovanni in Galdo i Castrovignano, a ludzi zginęło do 6000 jak liczą. Sam Neapol wtedy wstrząsł się, szczęściem raz tylko jeden a pchnięcie odbiło się w Procidzie i w Ischii.

Zapominają ludzie trwogę gdy minie; zato może przypomniał im się żywioł we dwadzieścia lat niemal, bo d. 5 Marca 1823 r., wzdęła się z fundamentów swoich ziemia pod całém Palermo, i rozwaliła domów wiele i 19 ludzi pochłonęła, i znowu po krótkim wypoczynku wstrzęsła się Kalabria d. 24. Kwietnia 1836. W Rossano nie pozostał ani jeden dom cały, Croscia ze szczętem znikła, a z Paduli, Scali i z Crepolati wynieśli się mieszkańce bo mieszkalnego nie pozostało domu. Z gruzów wydobyto 263 trupów a 182 okaléczałych. Po wypoczynku dziesięcioletnim nawiedza znowu 14 Sierpnia 1846 trzęsienie Pizę, Liwurnę i Wolterre, wywróciło z gruntu Orciano wioskę o 800 mieszkańcach, a ucierpiały niezmiernie Montescudajo, Guardistallo, Riparbella, Lorenzana, Lari, Casciana i innych wiele. Woltera zapisała 60 zabitych a 180 ciężko okaléczałych. Szkoda w budynkach przechodziła 450,000 scudów, a przestrzeń wstrząśnienia rozciągała się niemal na 300 włoskich mil kwadratowych. Professorowie nauk przyrodzonych w uniwersytecie Pizańskim Savi i Pilla uważali, że to trzęsienie przypadło we dwa lata po pamiętnéj z okro-

pności swoich powodzi rzeki Arno, a to samo było i sto lat wprzódy w r. 1742 kiedy w Florencyi d. 16 i 27 Stycznia owego czasu zapadł się kościoł Augustyanów podczas trzęsienia. Któż może wiedzieć czy wzdęcia podziemne srożąc się z laty, nie wywiérają wpływu swego wpoprzód na płynną powierzchnię ziemi, a potem dopiéro na twardszą godzą?

Ze wszystkich atoli wstrząśnień bieżącego wieku we Włoszech, najokropniejsze przypadło 14 Sierpnia 1851 roku, które się powtórzyło i 27 Sierpnia i 6 Września, a najmocniéj dotknęło prowincye neapolitańskie Capitanatę i Basilicatę. Melfi świetne jeszcze ze średnich wieków, Venosa rodzinne miasto Horacego, Canosa gdzie spoczywa ciało Boemunda Antiocheńskiego poniszczały, a Terra di Barri wkrótce może zgaśnie bez śladu, bo wiek nie mija, a cztérykroć uległa zniszczeniu. Dziś gdy to piszemy, nadchodzi wiadomość o nowém strasznem wstrząśnieniu nieszczęsnéj Cosenzy; trwoga trwa jeszcze, i szczegółów opisać nie daje.

Malarstwo i Publicystyka.

Czy mu być kunsztem czyli rzemiosłem? walczyło w średnich wiekach malarstwo długie, długie lata. Wiązane do cechu — czeladź troczyła obrazy, stawiała świętych; mistrz doglądał, lamował, poprawiał i puszczał za swoje jak dziś redaktor przesiéwa cudze otręby i za swoje puszcza. Biada mu! nie dopłynał jeszcze pod ów wiek siedmnasty kiedy się wyzwoliło malarstwo, i z powołania musi jak niegdyś malarz, trzebić swe siły dzień cały na martwém rzemieśle, a tylko iskierkę płodnéj nocy poświęcać rzetelnemu kunsztowi i szczerym natchnieniom — a jeszcze za nie, ani go laur nie czeka ani krzesło w izbie radzieckiéj, raczéj tylko przymówki i obelgi braci czeladzi; — zupełnie mu tak jak z malarzami bywało. Publicystyka przebywa przewody średniego wieku; spotwarzona, nie wie jest-li rzemiosłem czy kunsztem? — Dawnych malarzy utrzymywała pociecha iż im wolno bywało oddawać się własnym utworom z całą miłością i wiarą; z pod ich ręki występowały też często obrazy o rajskim wdzięku i przemawiały głosem wieszczego ducha, to im gorycze zasładzało i kruszyło rzemieślne więzy. Czyż niema i nas zmarniałych dziennikarzy utrzymywać na tym pradzie taż sama pociecha, iż nam wolno chwilami umiejętny przedmiot w skromną uchwycić ramę i odlać go z duszą i poświęceniem, z jakiém pochwytujemy rzecz sprawy dziennikarskiéj, broniąc zakonu i prawa, a puszczając w niepamięć smutne rozstroje w jakie nas wplątała przeprawa przewodna.

Zastanawia podróżnych postawa, chód i wspaniały układ ciała u kobiét na wyspie Ś. Tomasza; ale ktoby temu wierzył że ta królewska u nich powaga pochodzi ze zwyczaju noszenia i podawania wszystkiego na głowie. Do tego już i strój przysposobili narodowy, noszą ozdobne przyczółko w kształcie wieńca albo talerzyka z podpinką i ozdóbkami na różne sposoby; a która z dam grzecznie co komu podać zechce, stawia na przyczółko czy szklankę z wodą czy czarkę z herbatą, a prosta służba tacę, wazę, dzbany, i tak obnosi z prawdziwą układnością i gracyą jakiéj rzadko. Bo najprzód musi się prosto trzymać, a dla równowagi z tém co ma na głowie, musi dobiérać układu w krzyżach, któryby stosownie odpowiadał przechwiewom ciała, a nie odejmował swobody w użyciu rąk. Ztąd biodra nabiérają zwinności, szyja giętkości, a pierś wydatnia się naprzód. Ostrożność nie dozwala swawolnego poruszania głową, ale za to oko wprawia się w rzuty śmiałe i oględne, a wszystko z przyzwyczajeniem udziela postawie szczególniejszéj okazałości i powagi nie ujmując bynajmniéj lekkości i swobody w ruchach.

W starym naszym świecie często powtarzają się imiona miast i okolic, ale nigdzie tyle co w dzisiejszéj Ameryce północnéj. Zjednoczone Stany liczą ośmnaście miast przezwane Alexander, dwadzieścia ośm Adams, dwadzieścia jeden Cass, czterdzieści dziewięć Jefferson, pięć Lamartine, cztérdzieści cztéry Franklin, dziewietnaście Lafayette, trzydzieści dziewięć Washingtou, ośm Kossuth, dwadzieścia dziewięć Monroe, dwadzieścia ośm Clinton, siedmnaście Carrol, jedynaście Polk, pięćdziesiąt sześć Jackson, jedynaście Bunkershill a dziewietnaście Buena Vista.

Kto długi płaci, poprawia majątek. — Ba jeszcze co! powiedział Martainville, to wierzyciele wymyślili.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*